

LIS
z
MARTWEGO
LASU



LIS
z
MARTWEGO
LASU



Aubrey Hartman

Przełożył Adam Pluszka

KROPKA

The Undead Fox of Deadwood Forest

TEXT COPYRIGHT © 2025 Aubrey Hartman

ILLUSTRATIONS COPYRIGHT © 2025 Marcin Minor

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Adam Pluszka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Kropka, Warszawa 2025

Dla Huntera,
mojego życiowego współautora





ROZDZIAŁ 1



Bazył nie żył.

Ale był też bardzo żywy.

Niektórzy używają określenia *nieumarły* – a mówiąc „niektórzy”, mam na myśli dzieci o rozmazanych twarzach tłoczące się na skraju Martwego Lasu, które rzucają kamieniami i patykami w cienie, a przy tym śpiewają:

*Gdy ze wschodu wieje wiatr
i przedziera się przez las,
Nieumarły ma swój czas:
Potwór pożre palce, dłonie
i warkocze
na sam koniec.
Tylko nie krzycz, to żalosne,
i od tego głód w nim rośnie!*

Potem, oczywiście, wszystkie krzyczały – był to przerażający dźwięk, który wywoływał dreszcz na futrzastym grzbiecie Bazyla. Nigdy nie zjadł warkocza, cokolwiek to było. Wprawdzie za życia pożarł kilka palców, ale był lisem, do licha! Oskarżanie go o to, że jest wygłodniałym potworem, nie wydawało się sprawiedliwe.

Krzyczące dzieci w najlepszym razie były irytujące, a w najgorszym uciążliwe. Zwłaszcza w te noce, kiedy Bazyl miał pracę do wykonania – ważną, kluczową, dotyczącą życia lub śmierci (głównie śmierci).

Dzieci na szczęście pojawiały się tylko raz w roku (w wigilię Wszystkich Świętych), a Bazylowi najlepiej pracowało się w ciszy. Martwy Las nie był zaś niczym innym jak właśnie ciszą – tak cichą, że pojawiła się w makabrycznej piosence:

*Wstrzymaj oddech,
a usłyszysz
nędzną ciszę
w okolicy.*

*W Martwym Lesie
jest inaczej,
nic nie rośnie,
nie oddycha
i nie kracze.*

Tak, to prawda. W Martwym Lesie panowała głęboka cisza, a to dlatego, że Bazyl był jedyną żywą (powiedzmy) istotą w mroku jego koron. Żadne ptaki nie śpiewały na drzewach, ani jedna żaba nie kumkała w stawach. Za to Las Jaskrów po drugiej stronie drogi aż tętnił życiem, wesołym śpiewem ptaków i szelestem łąp w zaroślach.

Głucha cisza w Martwym Lesie była dla niektórych złym omenem.

Dla Bazyla była spokojem, który odnalazł dopiero w śmierci.

To znaczy – *nieśmierci*.

Wiecie, o co chodzi.

Nie będę kłamać, że Bazylowi było obojętne, że nazwano go potworem. Wzdrygnął się i cicho poprosił dzieci, żeby przestały, po czym wetknął mech w jedyne dobre ucho i tej strasznej nocy poszedł spać wcześniej.

Pomijając wrzeszczące dzieci, wigilia Wszystkich Świętych sama w sobie jest wystarczająco niepokojąca. Kiedy ludzie podczas obrzędów przywołują Zaświaty, Zaświaty rosną i pęcznią, napręża się błona między żywymi a umarłymi. Zdarzały się lata, gdy cztery królestwa jaśniały tak żarliwie, że nawet zbłąkane oko śmiertelnika dostrzegało jarzące się Zaświaty.

Jak już wiecie, Bazyl słyszał tylko na jedno ucho, szczęśliwie uchowało się po wypadku, w którym zginął. Z tego samego wypadku pozostało mu jedno sprawne oko. Drugie było kapryśne i wyskakiwało w najbardziej niedogodnych momentach.

Toczyło się wtedy po leśnej ściółce i zbierało paprochy. W końcu Bazyl poddał się i schował je pod łóżkiem w łupinie orzecha. Ale wkrótce potem zobaczył swoje odbicie w szklistym stawie. Lewy oczodół groteskowo ział nad wąsami.

Tamtej nocy wybrał się do Martwego Usypiska. Podczas żerowania postanowił chodzić na czterech łapach, czasem po prostu sensowne było trzymanie nosa blisko ziemi. I właśnie wtedy go znalazł: monokl. Nieco wygięty, nieco zmętniały. Z oprawki zwisał cienki mosiężny łańcuszek.

Umieścił monokl na kępcie futra przed oczodołem, po czym spojrzął na odbicie w stawie. Ku jego uciesze mętne szkło dobrze zakrywało jamę po oku. Posunął się nawet do stwierdzenia, że dzięki temu wyglądał... przyzwoicie.

Dziarsko.

Od tego momentu nasz nieumarły bohater nosił monokl. Wkrótce potem wdział również płaszcz, aby zakryć poprzecierane futro, szatę z kapturem wykonaną z pomiętego aksamitu w kolorze buraka.

Rozumiecie więc, dlaczego nazwanie go potworem bolało? Nie był nim w żadnym calu. Tak naprawdę jego praca sprawiała, że był kimś w rodzaju anioła.

Ale do tego jeszcze dojdziemy. I myślę, że przekonacie się, że jest to najbardziej interesujące, fascynujące, *zapierające dech w piersiach* –

Ekhem.

O co chodzi?

Pytacie, kim jestem?

Jestem narratorką. Bardką. Opowiadaczką tej historii. Jestem bardzo dobra w tym, co robię, i z czasem zapomnicie, że w ogóle istnieję.

Tak jak wszyscy inni.

Ale wróćmy do naszej historii. Wyczuwam, że rozmowa o brakujących gałkach ocznych wywołuje w was lekki strach. Z przykrością informuję, że zanim będzie lepiej, będzie znacznie gorzej. Musimy udać się z Bazylem w mroczne miejsce – bardzo mroczne miejsce – miejsce, do którego nigdy wcześniej nie dotarło zbyt wiele lisów, tylko garstka łosi i absolutnie żaden borsuk.

A to, drodzy czytelnicy, jest historia, której, obawiam się, nie jesteście jeszcze gotowi usłyszeć.

...A może jesteście?

Ktoś z was odpowie: „To prawda, wierna bardko, nie jestem”.

A więc moje podejrzenia były słuszne. Podejrzewam też, że jesteś w... powiedzmy... dojrzałym wieku. Dorośli bardzo często próbują chronić się przed nieprzyjemnościami życia. Ale nie mam ci tego za złe. Nie zawsze można być tak odważnym i ciekawskim jak dziecko. Zrób to, co musisz, i zamknij tę książkę. Skul się na kanapie z przejrzałym bananem i zapomnij, że kiedykolwiek doszły cię słuchy o tej opowieści.

„Zaczekaj, bardko! Ja jestem!”

Ach. Cieszę się, że źle cię oceniłam. Odwaga jest na wagę złota. Kontynuujmy więc...

Odwróć stronę.



ROZDZIAŁ 2



Nocą, blisko godziny jedenastej, gdy woskowy księżyc wisiał wysoko nad skrzypiącym baldachimem Martwego Lasu, Bazyla obudziło pukanie.

Ciche pukanie.

Pukanie, które wydawało się całkowicie niepewne, dlaczego puka.

Bazyl wiedział, że pukanie nie potrwa długo i musi reagować szybko. Rzucił się do działania z precyzją lisa, który robił to już tysiące razy: odrzuca kołdrę, porywa monokl z szafki nocnej, zdejmuje płaszcz z haczyka i naciąga kaptur głęboko na okaleczone ucho.

Gdy Bazyl wyszedł z sypialni, wziął z kominka kamień o ostrych krawędziach. Uderzył kamieniem o krawędź monokla, sypiąc iskrami na palenisko – raz, dwa, trzy razy, aż iskry spadły na podpałkę i zaczęła płonąć.

Zawiesił czajnik nad coraz mocniejszym ogniem i nałożył monokl na oczodół. Wciągnął powietrze przez wąski pysk i otworzył drzwi.

Przed nim stał niedźwiedź.

A raczej migocząca zjawia niedźwiedzia. Przez jego zwalisty tors Bazyl dostrzegał las – chwasty, płataninę runa leśnego, światło księżyca wpadające postrzępionymi snopami przez korony drzew. W Martwym Lesie liście znajdowały się w stanie wiecznej jesieni: kruche i kolorowe, leniwie opadające na ściółkę.

Podobnie jak Bazyl, las nie był całkiem martwy, ale też nie całkiem żywy.

– No tak... witaj – powiedział Bazyl, a jego głos był ciepły, jakby próbował w ten sposób nadrobić... coś, resztę jego osoby.

Większość stworzeń wzdryga się na widok zwierzęcia ubranego w ludzkie szaty. Ale Bazyl starał się ukryć swoje pstrokate futro, ucho pomarszczone jak wysuszony grzyb i brak lewego oka.

Kiedy zgodził się zostać nieumarłym Przewodnikiem, Pustakowicz nie wspomniał, że wiecznie będzie wyglądał odpychająco.

I chociaż Bazyl uwielbiał się uśmiechać (i śmiać, ale kiedyż ostatnio to robił?), jego szeroki, spiczasty uśmiech zbyt wiele

razy niemalże odstraszył gości. Spojrzał na krzepkiego ducha niedźwiedzia z najmiłszą miną, która nie uwzględniała uchyłania warg.

Niedźwiedź przestąpił z nogi na nogę.

– Wygląda na to, że się...

– Zgubiłeś? – podsunął Bazyl.

– Tak, właśnie to.

Niedźwiedź zmrużył oczy, jakby znalazł się w miejscu, w którym nie powinien być. I prawdę mówiąc, tak właśnie było.

– Gdzie ja jestem?

Bazyl na razie zignorował pytanie.

– Mam dobre wieści, niedź...

– Frabski.

– Co?

– Nazywam się Frabski.

– Ach.

Chociaż Bazyl nie pytał o imię – miał zwyczaj nie zaznajamiać się zbyt dobrze z wędrującymi duchami – ten jeden raz okazał się pomocny. Frabski było najczęstszym imieniem w niedźwiedzich dziejach, co oznaczało, że ten gość pochodził z długiej, dumnej linii. Co oznaczało również, że prawdopodobnie zmierzał do tego samego królestwa Zaświatów, co prawie każdy inny niedźwiedź: do Pokoju.

Mimo to Bazyl jeszcze nie poczuł, aby szafirowy błękit ciągnął tę wędrowną duszę, ale on lubił mieć otwarty umysł (to nie dotyczyło borsuków).

– Dobra wiadomość, Frabski, jest taka, że wcale się nie zgubiłeś i wkrótce minie dezorientacja. Wejdziesz, a ja wszystko wyjaśnię.

Frabski zawahał się w progu, zajrzawszy sceptycznie do środka.

Bazyl napełnił dwa miedziane kubki i zawołał przez ramię:

– Czy do herbaty życzysz sobie świeżego soku z drzewa?

Wabienie gości napojem było sztuczką, której Bazyl nauczył się od Pustakowicza, który nauczył się jej od Po, która nauczyła się jej od Edikulasa, który nauczył się jej od Przewodnika przed nim i tak dalej. Otóż wędrujące duchy zawsze (w przenośni) umierały z pragnienia. Nie było to oczywiście prawdziwe pragnienie. Ale uczucie, które odczuwały – ta dręcząca, uporczywa tęsknota za czymś, co ukołoby ich zmęczoną duszę – często myliły z odwodnieniem.

Niedźwiedź wszedł do ciepłej chaty.

– W sumie chce mi się pić...

– Usiądź – powiedział Bazyl, wskazując największe miejsce przy stole.

Krzesła – w sumie cztery – były różnej wielkości, zaprojektowane tak, aby pomieścić każde zwierzę, które stanie w progu tego domu.

Nie wiedzieć czemu Frabski zignorował Bazyla i wybrał średniej wielkości krzesło – to wykonane ze zmechaconego runa i wrzecionowatego drewna. Futrzany zad niedźwiedzia rozlał się na boki. Zwierz wyglądał, jakby miał zapaść w sen zimowy, jego ciało było wypchane zapasami jedzenia, a siedzisko jęczało pod nim żałością.

Bazyl upuścił ścierkę do naczyń, a następnie, używając stopy, przesunął ją pod Frabskiego. Postawił oba kubki na stole i zajął miejsce po przeciwnej stronie.

Bazyl oplótł kubek drobnymi czarnymi łapkami, a jego jedyne dobre oko lśniło pod cieniem płaszcza.

– Frabski, powiem to wprost. Jesteś martwy.

Minęło jedno uderzenie serca. (Wbrew rozsądkowi serce Bazyla wciąż biło mu w piersi. Przypuszczam, że z przyzwyczajenia).

Frabski zmarszczył brwi.

– Niemożliwe.

– To prawda. Widzę cię na wylot. Dosłownie.

Frabski uniósł półprzezroczystą łapę i poruszył pazurami.

– Co to ma być? Sen? Sztuczka? – Jego głos zniżył się do warkotu. – Otrułeś mnie?

Teraz dopiero Bazyl zauważył blizny na pysku i ramionach Frabskiego. Najwyraźniej niedźwiedź doświadczył brutalnej śmierci.

Ale już się to wszystko skończyło.

Biedne stworzenie mogło wreszcie odpocząć.

Bazyl upił długi łyk herbaty. Każda wędrująca dusza reago-
wała inaczej. Niektóre zamierały. Inne szlochały. Jeszcze inne,
jak Frabski, zaczynały się bronić. Bazyl nie wziął tego do siebie.
Niewielu życzliwie witało śmierć.

– Jak mógłbym cię otruć, skoro nie wypileś ani łyka herba-
ty? Nawet nie możesz jej przełknąć. No dalej. Spróbuj.

Frabski zabębnił pazurami o stół. Potem, może zdając sobie
sprawę, że nie ma nic do stracenia, chwycił kubek i wypił do
dna. Herbata przeleciała przez niego i chlusnęła na podłogę,
mocząc szmatkę, którą Bazyl tam położył.

Miedziany kubek Frabskiego stuknął o stół.

– Ale jak? Jak to możliwe?

– Pomyśl o swoim życiu – powiedział Bazyl. – Co ostatnie
pamiętasz?

– Walczyłem z niedźwiedzią.

– Niestety.

Olbrzymia pięść Frabskiego uderzyła w stół, sprawiając,
że Bazyl podskoczył.

– Musiała zwyciężyć.

Wyćwiczony wyraz twarzy Bazyla znikł. Zawsze zakładał
wszystko, co najlepsze, jeśli chodzi o dusze (z wyjątkiem bor-
suków), ale w oczach Frabskiego pęgała teraz nieugaszona
wściekłość.

Wtedy to poczuł. Delikatne szarpnięcie królestwa Zaświatów – tak delikatne, jak pasmo pajęczyny przyczepiające się do futra.

Ale z reguły Bazyl nigdy nie wysyłał wędrującego ducha do tego konkretnego królestwa, chyba że był absolutnie, w stu procentach, wyjątkowo pewien. Poprawił monokl.

– O co chodziło w tej walce?

Wilgotne wargi Frabskiego wykrzywiły się w uśmiechu.

– Powiedziałem jej, że jeśli jeszcze raz przejdzie przez moje terytorium, zjem jej młode na obiad. – Pochylił się, a zbyt małe krzesło stęknęło pod jego ciężarem. – A ja jestem zwierzęciem dotrzymującym słowa.

Delikatne pociąganie stało się ostrym szarpnięciem z południa.

Bazyl nie wzdrygnął się. Nie oderwał wzroku od mrocznego spojrzenia niedźwiedzia. Co prawda nie spodziewał się tego (niedźwiedzie okazywały się zazwyczaj łagodnymi stworzeniami), ale znalazł się już w podobnej sytuacji. A teraz, gdy wiedział, co trzeba zrobić, najlepiej było zrobić to szybko.

– No cóż, walka z niedźwiedzią matką nie wyszła ci na dobre i teraz nie żyjesz. Jesteś wędrującą duszą szukającą ostatecznego miejsca. A ja zostałem wybrany przez Zaświaty, żeby być twoim Przewodnikiem.

Frabski się skrzywił.

– Że co?

Niedźwiedź miał wyraźne problemy z połapaniem się w sytuacji, ale Bazyl nie mógł zwolnić.

– W Zaświatach istnieją cztery królestwa. Chociaż nie do mnie należy nakłanianie cię do pójścia do któregośkolwiek z nich, mogę powiedzieć jedno: każdą duszę przyciąga świat, w którym będzie jej najwygodniej.

Bazyl wstał i otworzył frontowe drzwi. Przez chatę przetoczył się suchy wiatr, szarpiąc rąbkiem jego płaszcza i niemal gasząc ogień w palenisku. Ta część była bardzo teatralna i kiedy Bazyl nie miał do czynienia z tak okropną duszą, w przenośni żył dla tej chwili.

– Cztery królestwa to Pokój, Przyjemność, Postęp oraz... – ostatnie zawsze wymagało dramatycznej pauzy – Płacz.

Bazyl podjął:

– Udaj się stąd na północ, a znajdziesz królestwo Pokoju... – Pojawił się szafirowy, błękitny blask, świecący gdzieś głęboko w lesie. – Dla tych, którzy znajdą radość w odpoczynku. Kieruj się na wschód, a napotkasz królestwo Przyjemności... – Las po prawej stronie Bazyla zabłysnął złotem. – Najlepsze dla tych, którzy ponad wszystko cenią sobie zabawę. Prosto na zachód znajduje się Postęp... – Pojawiło się mocne zielone światło. – Dla tych, którzy kochają pracę, służbę i wysiłek. I wreszcie, udaj się na południe... a wkroczysz do królestwa Płacz. – Karmażynowy las za chatą zaczął pulsować niczym bijące serce.

Frabski wstał, a krzesło podniosło się wraz z nim, zaklino-
wane na jego zadku. Zerwał je i rzucił na podłogę.

– Chcę iść do Przyjemności.

– Nie czuję, żeby to królestwo cię wzywało.

– Mam to w nosie. Tam chcę iść. Sam powiedziałeś, lisie,
że nie możesz mnie do niczego zmusić. Jesteś tylko...

– Przewodnikiem. Tak powiedziałem. Ale jeśli spróbujesz
wejść do świata, do którego nie należysz, długo będziesz się
błąkać. A w końcu, nie znalazłszy nic poza niekończącym
się skrajem Martwego Lasu, wrócisz tutaj, gdzie będziemy
musieli powtórzyć tę procedurę.

Frabski złożył łapska na swojej ogromnej futrzanej klatce
piersiowej.

– Jeśli nie mogę wybrać, a ty nie możesz mnie zmusić, jaki
to ma sens?

– Mogę ci pomóc w podjęciu właściwej decyzji.

– No dobra... – Niedźwiedź pochylił się tak blisko, że jego
oddech jeszcze bardziej zamglił monokl Bazyla. – Gdzie twoim
zdaniem jest moje miejsce, lisie?

– W Płacz.

Wtedy Frabski podniósł swoją masywną łapę i z całej siły
uderzył Bazyla w twarz.

Bazyl poczuł jednak tylko zimny podmuch – jego monokl
zakołysał się lekko.

Frabski ryknął.

– Mogę zapukać do drzwi i podnieść kubek, ale nie mogę dotknąć ciebie? Co z ciebie za potwór?

Bazyl aż się wzdrygnął. Ponieważ Frabski, osobnik pełen przemocy, użył właśnie tego słowa, które zraniło naszego nieumarłego bohatera.

– Tu nie chodzi o mnie, tylko o ciebie – odparł szorstko Bazyl. Naciągnął kaptur, przysłaniając jeszcze bardziej swoją zmasakrowaną twarz. – Kiedy zapukałeś do moich drzwi i podniosłeś kubek, twoje motywy były nieszkodliwe. Kierowała tobą ciekawość. W granicach praw błakającej się duszy. Jednak Zaświaty nie tolerują chamstwa wobec Przewodników. A uderzenie mnie w twarz, Frabski, było bardzo chamskie.

– Więc mogę być ciekawski, ale nie chamski?

– Otóż to.

– A co, jeśli jestem ciekawy, jak byś wyglądał z oderwaną głową?

Bazyl bardzo nie lubił tego niedźwiedzia. Ale czuł się profesjonalistą w swoim zawodzie i potrzeba było znacznie więcej niż napastliwy duch, żeby go zdenerwować.

– Chciałbyś urwać mi głowę? Czy to by cię... powiedzmy... uszczęśliwiło?

Niedźwiedź wydał z siebie głucho warknięcie.

– Pomyśl więc tylko, ile cierpienia mógłbyś zadać innym... – Bazyl przysunął swój pysk do niedźwiedziego – ...w królestwie Płaczu.

Ten argument działał na każde zwierzę, które naprawdę należało do Płaczu. Tam mogły spędzić wieczność, unieszczęśliwiając się nawzajem. To było właśnie to, czego pragnęli i na co, jak na ironię, zasługiwali.

Ciemne oczy Frabskiego załśniły. Obnażył ogromne żółte zęby i kłapał powietrze przed twarzą Bazyla. Wyszedł przez drzwi i okrążył chatę, kierując się w stronę południowego lasu.

– Życzę szczęścia i dobrobytu! – zawołał Bazyl z czystego przyzwyczajenia.

Niedźwiedź w odpowiedzi spróbował kopnąć ziemię tylną łapą, żeby obsypać lisa, co mu się oczywiście nie udało.

Bazyl czekał, aż upiorny grzbiet Frabskiego zanurzy się w pulsującym czerwonym świetle, po czym nastawił ucha, żeby usłyszeć swój ulubiony dźwięk. Nadszedł niedługo po tym, jak sylwetka niedźwiedzia zniknęła – miękki, niski trzask Zaświatów witających nową duszę w swoich pieleszach.

Bazyl odetchnął. Odwrócił się do nierównego cienia swojego ogrodu.

– Cóż, Kapitanie, mogłeś mnie przed tym ostrzec.

Ogromny błądy grzyb – który rósł w samym środku – nie zareagował.

Szczerze mówiąc, byłoby dziwne, gdyby to zrobił.

Bazył zamknął za sobą drzwi i zarygłował je (co było głupim środkiem ostrożności, gdyż blakające się dusze nie mogły przekroczyć jego progu, jeśli nie zostały zaproszone). Zdjął płaszcz, położył monokl na stole i opadł na skórzany fotel obok paleńska.

Miał szczęście, że Frabskiego łatwo dało się przekonać. Niektóre paskudne duchy zostawały na całą noc, miały się i groziły, odmawiając pogodzenia się z tym, co nieuniknione. A kiedy w końcu odchodziły, Zaświaty jakby wiedziały, ile to wydarzenie kosztowało Bazyla sił, i zawsze po odesłaniu kogoś do Płaczu dawały mu trzy kolejne noce wolnego.

Żadna dusza nie zapuka dziś do jego drzwi.

Ani jutro.

Ani pojutrze.

Przez trzy dni i trzy kolejne noce w Martwym Lesie będzie panował całkowity spokój.

Oczywiście Bazył czuł się zupełnie inaczej po przejściu dusz do pozostałych trzech światów. Wtedy czuł się odmłodzony. Doceniony. Prawie...

Kochany.

Przynajmniej tak to sobie wyobrażał.

W zeszłym tygodniu wprowadził pięć dusz do Zaświatów: dwa króliki i łosia do Przyjemności, starego ptaka do Postępu

i owocożernego nietoperza do Pokoju. Łoś był szczególnie miłym towarzyszem i Bazylowi było strasznie smutno, gdy patrzył, jak ten odchodzi.

Przyłożył kubek do ust, pragnąc poczuć ciepło herbaty z sokiem drzewnym. Ale napar już wystygł. Sok był dziwnie gorzki.

Westchnął i odstawił naczynie, po czym rozejrzał się za innym źródłem pocieszenia.

Zawsze zostawało czytanie. Mógł zwinąć się pod kołdrą z książką wyszperaną na Martwym Usypisku.

Poza tym nie istniało tu zbyt wiele innych sposobów na poprawę humoru. Sen? Jako nieumarły spał tylko z przyzwyczajenia. Rozmowa z przyjacielem? Był sam w Martwym Lesie. Szczęśliwe wspomnienie, do którego mógłby sięgnąć? Nie miał żadnego, ponieważ wypadek, który odebrał mu ucho i oko, odebrał mu również sporą część pamięci. Nie miał żadnych wspomnień ze swojego śmiertelnego życia.

Ale tak było chyba lepiej, zgodnie z tym, co powiedział Pustakowicz w noc, gdy Bazyl stał się nieumarły. Bo to było najgorsze w tym wszystkim.

Usłyszał, że jeśli kiedykolwiek umrze, jego dusza trafi do królestwa Płaczu.

